ROZMAITOŚCI.

Dnia 3. Czerwca N.er 22. Roku 1843.

PRZECISZEW.

SZKIC HISTORYCZNY 1701—1709.

PRZEZ

AD. AN. KOSIŃSKIEGO.*)

I.

W obszérnéj komnacie Przeciszewskiego dworca, przy końcu grudnia 1701 r., dwóch starców żwawą między sobą prowadziło rozmowę, jednym z nich był właściciel miejsca, Albert Grzymała Przeciszewski, stolnik płocki, drugim Michał Pobog na Bromierzu dziedzic, bielski starosta.

Wiek obu starców był ten sam—też same strony urodzenie ich widziały, od dzieciństwa sąsiadowali i przyjaźnili się z sobą, a przecież nie było potrzeba biegłego oka badacza, aby dojrzéć między niémi niezmierzoną różnicę—wywijała się ona w ich postawie i stroju, ryła się na licach i w oku.—Średniego wzrostu, lecz silny, kościsty, o czole latami w fałdy, szablą wrogów w szramy rozrytém, stolnik Przeciszewski widocznie był jednym z téj szlachty Stefana i Zygmunta Wazy, dla których honor więcéj ważył niż życie, w których sercu nie postała prywata, a cnota hasłem życia była. Inny charakter, inny wiek uosobniały się w tłustym, chociaż pięknego lica bielskim staroście, dla jego pulchnéj dłoni, utrudzeniem zapewne szabla byłaby, w oku czytałeś obłudę, miłość własną, interes osobisty, górujące nad zamiłowaniem dobra ogółu, cnót obywatelskich. Jak wiek siedemnasty, wiek silny rycerski wierny Bogu, królowi i krajowi, wybijał się a może i kończył na Przeciszewskim dziedzicu; tak osiemnasty, słaby, nikczemny, intrydze oddany poczynał się i piętnował w panu na Bromierzu. Lecz posłuchajmy ich rozmowy:

»A więc ostatnie twoje postanowienie panie bracie! jest«, kończył rzecz swoją starosta, »Sasa partyzantem pozostać, bronić sprawy króla, którego cały naród porzuca, którego samo niebo opuszczać zdaje się?«

»Nie Sasa Mospanie partyzantem chcę ja być, ale kraju mojego«, odparł brzęcząc po rękojeści swéj szabli dziedzic Przeciszewa, »dla mnie wiész z dawna, Aszmości prywata niéma żadnego baczenia, honor i powinność jak były tak pozostaną jedyną skazówką moich postępków.«

»Honor i powinności«, mruknął nieco szyderczo starosta i dodał — »Zważaj przecie Aszeci, na co się narażasz, co czynić zamyślasz. Szwedzki król silny, dwóch już pokonał monarchów i naszemu da radę, a wtedy Mospanie! biada wszystkim co mu jaki opór stawią: niezawodnie w perzynę pójdą ich włości, w jassyr poddani. Przypomnij sobie, co się działo za Jana Kazimiérza: przypomnij sobie, ile czasu potrzebowałeś sam, aby zagoić rany owéj wojny, przyprowadzić do ładu i dobrego stanu twe mienie. Chceszże w jednym dniu nawet niweczyć owoc lat kilkudziesięciu zabiegów i pracy? z zamożnego obywatela przyjść na tułacza, żebraka?«

»A choćby i tak się stało, choćbyś nie fałszywym prorokiem był Mospanie starosto! przekonać mnie jeszcze nie zdołasz. Ja szlachcic staréj daty, za morze po naukę nie jeździłem, u Francuzów nie szukałem rozumu; ale w staropolskich cnotach schowany, zejdę z niemi do grobu. Strata na majątku niczém mi nie ujmie honoru, a czyżbym go nie skalał idąc w brew przekonaniu memu, łamiąc przysięgi prawemu poniesione monarsze?«

*) Wyimek z *Biblijoteki warszawskiéj*, pisma poświęconego naukom, sztukom i przemysłowi.

Starosta czoło w zmarszczki sfałdował, słowa stolnika widocznie do przekonania jego nie szły, może śmiésznémi zdały się nawet. Już chciał szydną i cierpką odpowiedzią wybuchnąć, gdy nagle jakąś nową myślą zabłysnęło oko — znalazł przekonanie, jak sądził wyborne, i przysunąwszy krzesło bliżéj do kolegi, z-cicha, niby w sekrecie, chociaż nikogo nie było w komnacie! tak mu szeptał:

»A jeźlić szkody nie wstrzymują cię panie Albrechcie! to może własny interes podoła: słuchajże mnie pilnie, bo projekt jaki ci podam, niezawodne korzyści nietylko tobie, ale całemu domowi przyniesie. Odebrałem dzisiejszego poranka list od księcia prymasa, wiedz co mi pisze. Detronizacyja Augusta jest jak gdyby pewna, król Jegomość szwedzki za piérwszy i nieodzowny warunek kładzie ją w traktowaniach z rzecząpospolitą. Panowie senatorowie, a szczególniéj ksiądz kardynał i nasz ziomek lwowski arcybiskup*), zgadzają się na to, idzie tylko o zezwolenie nas szlachty. Otóż ksiądz prymas obiecuje temu, który piérwszy przeciw Sasowi konfederacyją zawiąże, starostwo, dygnitarstwo, lub krzesło do wyboru. Rzecz dalipan piękna, pokusić się warto, masz wpływy i z rodu i z siebie między zagonową tutejsza szlachta, nie potrzeba ci wiele starań, aby ją podburzyć i do ogłoszenia się przeciw Augustowi nakłonić; za twoim przykładem piérwszy pójdę, i w krótce da Bóg doczekać, ujrzymy się wspołem w senatorskiéj izbie. Niebezpieczeństwa niéma żadnego; bo czyż w dowódcach szwedzkiéj armii silnych protektorów nie znajdziem?«

Z oburzeniem z trudnością tajoném, dosłuchał stolnik projektów sąsiada i odparł na nie:

»Panie bracie! gdyby kto inny nie Aść, śmiał mi podobne w oczy rady miotać, dobyłbym karabeli pewnie, i krzyżową sztuką posiekałbym mu czerep na części; bo dalipan sądziłbym, że albo śmiészki ze mnie chce stroić, lub doświadczać cnoty starego żołniérza. Lecz z tobą rzecz inna; bo wiém, żeś co mówił, toś mówił tylko z poduszczenia cudzego, a najwięcéj z tych panów, co dla prywaty zabaczywszy najświętsze obowiązki człowieka i szlachcica, gotowi sumienie poświęcić. Słuchaj mnie przecież, a Bóg widzi, że szczérą prawdę ci powiém. Przód niżbym złamał przysięgę, co dobrowolnie Augustowi poniosłem, przód niżbym frymarką sumienia skalał siwe me włosy, choć jednym groszem, własną hańbą, szkodą powszechną, nabytym powiększył majątek, zezwalam, niech imię moje pójdzie w niesławę, niech kto chce bezkarnie w oczy rzuci sromotę! a ród cały niech się pokrewieństwa ze mną wyprze; bo czyż byłbym go godnym po świętokradzkim czynie?«

Nawzajem tłuste policzki starosty, gniewu powlekł rumieniec. — »Piękne to słowa«, odparł z nietajoném szyderstwem, »lecz nic więcéj. Chcesz naśladować koniecznie owych heroów greckich i rzymskich, których dziejami bałamucił ci głowę w młodości głupi nauczyciel i nierozważny ojciec. Pomnij przecież, że co było kiedyś w uwielbieniu dla świata, dzisiaj obrzucone śmiésznością od niego! *Prima charitas ab ego* — mówi przysłowie, a szaleniec kto nań nie daje baczenia: z twojémi maxymami panie bracie, jak niedaleko zaszedłeś i nie zajdziesz daléko. Za Korybuta i Sobieskiego, na Podolu, pod Wiedniem, na Wołoszczyźnie i Bóg wié gdzie, lałeś krew, na szwank narażałeś życie, a jaką otrzymałeś nagrodę? powiększyłżeś choć jedną possesyją mienie? maszże zyskowny jaki urząd, starostwo lub dygnitarstwo? Honor piękną jest rzeczą, ale i w nim miarę chować należy. Nie naśladuj twych przodków, co dla próżnéj sławy, uporu, lub źle zrozumianych powinności, kładli gardła na placu boju, tracili fortuny, albo je uszczuplali znacznie. Szczycisz się ich wspomnieniem, wynosisz w dumę ich zasługami? Przeciwnie, jabym ich przeklinał lub gardził tą przynajmniéj ślepotą, co na własne dobro zamykała oczy. Tyle familii nowych, tyle imion nieznanych przyszło, korzystając z okoliczności, do magnaczych fortun, buław i krzeseł, kiedy wasza od wieków na téj ziemi istniejąca, jak była, pozostała szlachecko - wioskową. Patrz na mnie: z ojca i połowę nie otrzymałem tyle mienia co ty, nie biegałem po świecie za Tatarem i Turkiem, a przecież dziś i staro-

*) Zieliński Płoczczanin.

stwo mam, intratną possesyją jedną i drugą, i nadziei też trochę na dalej.«

Można było bezkarnie obrazić miłość własną stolnika; lecz biada temu, kto śmiał targnąć się na cześć jego przodków, najlżejszym słowem przyniósł ujmę ich pamięci! Dłoń starca żwawo upadła na rękojeść szabli, odsunął ją przecież po chwili rozwagi, lecz wyrzekł z zapałem:

»Mospanie! ani dawna przyjaźń nasza, ni koleżeństwo półwieczne, nie zasłoniłoby cię od zdania rachunku z słów wyrzeczonych niebacznie, gdyby nie zatrzymało dłoni wspomnienie, żeś gościną w tym domu, że pod jéj świętemi prawami zostajesz. Błagam cię jednak nie kalaj bluźnierczym językiem pamięci mych przodków, ani postępki ich sądź, kiedy ni ich rozumiéć ni pojąć nie możesz. Co do mnie — prawdę powiedziałeś: urodziłem się i umrę wioskowym szlachcicem; lecz jak żyłem, umrę poczciwym, frymarką sumienia zyskiwać nie będę dostojeństw, intrygą nie zbuduję fortuny. Miéj więc sobie starostwa, bądź kasztelanem i wojewodą, depcz honor przodków, ale mnie nie judaszuj, nie odwódź od cnoty. Przysięgam ci! próżna to rzecz jest: bo nie chcę, aby imię moje czyste od wieków, było w przekleńctwie i wzgardzie u potomności najdalszéj.«

Obraza była za nadto silną, nadto wprost w oczy rzuconą, aby nie dobodła miłości własnej starosty. I on ujął za karabelę, i w jego piersi na chwilę żądza pomsty, chęć ukarania obelgi zawrzała; lecz to była przelotna łyskawica dumy i honoru. Stłumiła ją obawa: wiedział, że utarczka z stolnikiem człekiem silnéj i wprawnéj dłoni, niebezpieczną była. Pozostawił zatém miecz w pochwie, za kapelusz ujął, i głosem drżącym od gniewu, ku drzwiom komnaty oddalając się — wyrzekł:

»Na upór niéma lékarstwa. Kiedyć zdrowa rada nie idzie do przekonania twojego, gdy ją owszem nagradzasz uchybą gościnności, działaj sobie i czyń jak ci się podoba; lecz potém co zaszło, pojmujesz zapewne, że wszystkie związki sąsiedztwa i przyjaźni rozdarte być muszą między nami; rozdarte być muszą i zobowiązania wzajemne, jakie zawarliśmy we względzie postanowienia przyszłego naszych dzieci.«

Po raz pierwszy od mnogich lat dwaj koledzy pożegnali się zimném tylko głowy skinieniem. Po raz piérwszy w sercach obudwu była ku sobie uraza i niechęć: różne wyobrażenia i okoliczności, dwóch serdecznych przyjaciół w zaciętych przemieniły wrogów.

II.

Długo przecież poczciwy stolnik, poglądał za oddalającą się szybką karocą starosty, i w jego oku łza wiła, w piersi było duszno, w sercu boleśnie. Chociaż wyobrażeniami i charakterem z sąsiadem różnił się, alež piérwszą młodość z nim strawił pospołem, od lat pięćdziesięciu związany był ścisłym węzłem przyjaźni i sąsiedzwa, niejednę gorżką chwilę życia niemi osłodził, niejedną rozkoszną więcéj uprzyjemnił jeszcze; że rozerwać je teraz, wydrzéć z pamięci, dla poczciwego serca istotną męczarnią, istném było cierpieniem.

Inna przecież pozostała mu jeszcze próba, inny obowiązek, na którego wspominek drzał cały: dotąd ciérpiał on sam, teraz miał przynieść cierpienie najdroższéj dla swego serca istocie, — jedynaczce córce.

Z pochmurném czołem, z westchnieniem w piersi, wszedł do jéj komnaty.

Piękna dziewica nie była samą, obok niéj drobiazgową może, ale zapewne miłą sercu zajęty rozmową, stał jéj narzeczony — jedynak starosty, Kazimiérz z Bromierza. Czoło stolnika więcéj pochmurzyło się jeszcze. Znał serce dziéwicy, wiedział, że ono z dawna biło dla tego, komu oddać miała rękę; nadto ta miłość była za jego wolą, za poradą nawet: uświęcić ją węzłem małżeńskim sam piérwszy zapragnął, lecz wahać się nie mógł. Jakkolwiek wyrok losu był srogi, nad siły jego nie był: skinieniem ręki zawezwał za sobą zdziwionego młodzieńca, i tak mu rzekł gdy się znaleźli w komnacie, którą niedawno starosta opuścił.

»Panie Kazimiérzu! lat ci wkrótce dobiegnie trzydzieści, doszedłeś zatém wieku, w którym zdrowo o rzeczach sądzić winieneś, własne, jak na dobrego obywatela przystoi, miéć zdanie. Znasz stan kraju, wiesz, że król August opuszczony od najgorliwszych swoich stronników, chwieje się

na tronie, że dumny Szwed głosi nową elekcyją i do niéj cały naród przyzywa; jakaż tedy chęć twoja? czy pójść za naszym monarchą, czy liczbę jego przeciwników powiększyć?«

Młodzian zarumienił się lekko. Chociaż żył w czasach pełnych zamieszań, w czasach, kiedy każdy szlachcic brał stronę, jaką mu własny interes lub powinność nakazywały, on ani pomyślał nawet, aby śród krzyżujących się zdań wybrać jakowe, w wirze burzliwych rozpraw wynaleść dla siebie skazówkę i bodziec w postępowaniu; jemu miłość tyle zabiérała czasu... potém związki rodu, biesiady i łowy sąsiedzkie. Nadto ciśniony wolą ojca, mógłże mieć własną? Odparł:

»Sprawa twoja panie stolniku, czemu niéma być i moją? Co uradzicie z panem starostą przyjmę jak najchętniéj, a choćby przyszło do szabli dobycia, nie ulęknę się wcale: wszakże, dzięki ci, nie źle nią władam.«

Starzec lekko głową skinął: może inną, więcéj samoistną, rad był słyszéć odpowiedź. Wyrzekł posępnie:

»A gdyby drogi nasze całkiem różne były? Gdyby od lat dziecinnych skojarzeni z twym ojcem przyjaźnią, rozerwać ją teraz mieliśmy, różnych a wrogich sobie stron partyzanci — cóżbyś uczynił?«

Młodzieniec pobladł i wzdrygnął »I — to nie sposób« — wyjąkał.

»Tak jest przecież«, rzekł stolnik. Wsparł czoło na dłoni, kilka chwil milczał posępnie i dodał: »Panie Kazimiérzu! posłuchaj słów moich, i wierzaj, iż co rzeknę, boleśnie dla serca i duszy. Ojciec twój stronę szwedzką ima, ja przeciwnie wiernym Augustowi chcę zostać. Pojmujesz zatém, jaka niezmiérzona otchłań rozdziela dwa domy, dotąd braterstwem i sąsiedztwem związane; pojmujesz, że kiedy rodzice nieprzyjaciołmi zaciętémi będą, kiedy być może, że krew swoją muszą na placu boju rozléwać, dzieci ich nie mogą się łączyć, nie mogą w święte śluby małżeńskie wstępowac. Powtarzam ci jeszcze: przykro mi jest, boleśnie dla serca rozdziérać ze wszystkiémi życzeniami serca: w jednéj chwili burzyć gmach pięknéj nadziei, pozbawiać własne dzieci szczęścia: bo czemuż taić mam — ona cię kocha; lecz tego chce straszny wyrok losu, honor — uledz im winienem.«

Młodzieniec zadrżał: słowa starca niszczyły wszystkie jego ułudy, rozdziérały serce. Powstał żywo z krzesła, jakby walcząc myśl jakąś, i oko jego zabłysło, twarz rzéźwy powlékł rumieniec, widocznie ocknęła się dusza z uspienia. Młodzian dziécię, silną wolą przedzierzgnął się w człowieka; ujął rękę stolnika i mówił z zapałem:

»Panie! od dziecinnych lat, od kolébki nawet, nauczyłem się kochać ciebie, szanować twój charakter, iść za radami twojémi. Byłeś mi ojcem i więcéj niż nim nawet, bo kształciłeś rozum i serce, wskazałeś cel życia i powinności dobrego obywatela. Z kilku słów coś wyrzekł, pojąłem całą twą duszę, pojąłem ofiarę. Wiém dla czego stronę Augusta bierzesz? Panie! pozwól mi pójść za twym przykładem, pozwól służyć pod swym przywodem. Sprawa twoja jest sprawą mego serca i przekonania! innéj miéć nie chcę! Kocham Jadwigę: przecież nie żeby pozyskać jéj rękę, lecz aby godnym być ciebie, godnym obowiązków obywatela, chcę walczyć, chcę bronić naszego monarchę.«

Oko starca rozpłomieniło się radością. A więc nie omylił się w wyborze zięcia dla siebie, męża dla jedynaczki swéj córki. Przycisnął szlachetnego młodziana do piersi, odparł mu jednak:

»Bóg widzi panie Kazimiérzu! że słowa, które wyrzekłeś, miłe są dla serca i duszy, w strapieniu mojém istotną pociechą. Bóg widzi, że kocham cię niby rodzonego syna, że dać ci tę nazwę, najmilszém było mojém życzeniem; przyjąć jednak ofiary, zgodzić się na twe postanowienie, jest istotném dla mnie niepodobieństwem. Masz ojca: on, nie ja, o losie twoim stanowić powinien, jego sprawą twoją być powinna: to obowiązek chrześcijańskiego poczciwego syna! — O jedno tylko winienem cię prosić. Sprawa, którą biorę, czuję sam, zgubną będzie dla mnie, zgubną dla Jadwigi! Bolesne przeczucie gnębi pierś i serce. Panie Kazimiérzu! nie zapominaj wtedy, że ona miała być twoją żoną, że ona cię kocha; jeżliś nie mógł być jéj mężem, bądź bratem, wspiéraj jak siostrę!«

Napróżno młodzieniec walczył postanowienie starca. Niezachwianym był on w swéj woli, pozwolił przecież raz jeszcze widzieć — pożegnać Jadwigę! — Ktożby określił ciérpienie dziewicy? nie uległa mu jednak. Kazimiérz klął jéj niezachwianą i wieczystą miłość. Mogłaż mu nie ufać? — ona! w któréj sercu tyle było miłości, tyle wiary w cnotę — nieszczęsna!

III.

Dwa lata ubiegło: straszny to był czas dla Lechii, początek tych klęsk, którym koniec stulecia nieodzowne rozwiązanie miał przynieść. Drogą od miasteczka Płońska ku Płockowi wiodącą, o chłodnym jesiennym wieczorze, spieszyło dwoje podróżnych: starzec lat pięćdziesięciu i młoda piękna dziewica. Oboje w grubych szatach wieśniaczych, oboje znużeni pieszą podróżą, skołatani cierpieniem duszy, więcéj jeszcze niż ciała.

Bylito: Stolnik Przeciszewski z swą córką.

Starzec wierny przekonaniu swemu—Augusta wziął stronę, zawiązał na jego korzyść konfederacyją i zaciętą walką trapił hufce Karola. Lecz czyliż męztwo zdołało siłę przewalczyć? co więcéj, straszny wyrok Boga! Przed dwoma tygodniami w okolicach Pułtuska okrążony przez Szwedów, po zaciętéj bitwie uległ stolnik; towarzysze jego polegli lub w wszystkie rozpierzchli się strony, on sam przypadkowi tylko winien będąc ocalenie życia, z lubą córką, co mu nieodstępną była w niedoli, ścigany bezustannie od szwedzkiéj pogoni, ku pruskiéj przebiérał się stronie.

Kraj, który teraz przechodził, znany mu był dobrze — bo wszakże jego rodzinny, posiadłości jego własne, dziedzictwo rodu od lat niepamiętnych, gdy je opuszczał kilkanaście miesięcy temu, były jeszcze piękne, zamożne i ludne: a teraz?—teraz rodzinny dworzec leżał w ruderze, wioski opustoszone, pola nieuprawne.

Strata majątku jeźli bolała, więcéj jeszcze dotknęła poczciwe serce wiadomość, że pan na Bromierzu, teraz już płocki kasztelan, korzystając z niedoli sąsiada, jego mienie zagarnął, już to na mocy jakichś praw porobionych, już téż darowizną od Karola dwónastego.

A ten człowiek zwał się przez lat pięćdziesiąt jego przyjacielem, dziecinne lata z nim przeżył pospołem... to boleśnie!

Przeszedłszy mały lasek jodłowy, stanęli podróżni na krzyżowych drogach. Stérczała tam z jednéj strony murowana figura—pamiętnik urodzin Jadwigi, z drugiéj wyniosły kopiec graniczny.

Stolnik usiadł na nim, w oku łza błysnęła... jeden krok tylko i już miał opuścić rodzinną ziemię, ziemię wspomnień młodości, uroków dojrzalszego wieku, i żegnał ją na zawsze—tułaczem, banitą!

Cierpienie starca pojęła córka, uścisnęła dłoń jego, rzewnemi łzami skropiła, i rzekła:

»Ojcze! porzuć bolesne myśli. Cierpkie próby dopuszcza Bóg na nas, lecz czyliż świętéj jego woli nie powinniśmy uledz w pokorze? czyż jego opieka nie jest widoczną nad nami? Ocalił nas niedawno z klęski, w któréj wszyscy towarzysze twoi ulegli, ocalił z niewoli, przewiódł szczęśliwie wśród szwedzkiego obozu, omylił nieprzyjaciół pogonie.«

»Tak! — masz słuszność Jadwigo. Bóg dobry, łaskawy—niechaj się święci po wszystkie czasy jego wola. Przecież dziécię moje, przykro to nie być między swémi. Alež mniejsza o mnie, lecz ty dziécię... Ach! słusznie powiedział kiedyś przed dwoma latami starosta... ty mnie kląć powinnaś, ty przezemnie jesteś żebraczką i tułać się musisz.«

»Ojcze! jaż mam cię przeklinać? jaż mam ci wyrzucać postępek, który nakazywał honor, który był obowiązkiem twoim przed Bogiem i ludźmi? Nie jestżem Przeciszewską? Nie jestżem twą córką?«

Starzec przycisnął zimne swe usta do bladego czoła dziewicy, i mówił posępnie:

»Nie sądź przecie droga Jadwigo! że już kres naszych cierpień doszedł; że oswobodziwszy się od szwedzkiéj pogoni, znalazłszy bezpieczeństwo w Prusach, będziemy szczęśliwi. Ach dziécię! nie powinienem ci taić: gorzki to chléb, który cudza ręka tulaczowi porzuca, gorzka litość człowieka nieznanego, obcego tobie wyobrażeniami i mową; najgościnniejsza ziemia, najpiękniejsze niebo nie zastąpi własnego choć smętnego kraju! Jadwigo posłuchaj mnie zatém, rozważ co ci powiém! Ja koniecznie muszę uchodzić, dla mnie na téj ziemi niéma nadziei ocalenia nawet, zacięty wróg Szwedów nie znajdę miłosierdzia u nich; lecz tyś niewinna, ty bez obawy możesz pozostać. Mamy liczną i zamożną familiją, u niéj znajdziesz opiekę: z chęcią przyjmą cię wszyscy, życie znowu jak dawniéj będzie ci lube i piękne, Bóg dwu-letnie troski wynagrodzi chojnie; a kto wié, może i on, wiesz o kim chcę mówić, wspomni na dawne przysięgi, pozwolenie ojca otrzyma, zapewni ci szczęście całéj przyszłości.«

Łzy strumieniem potoczyły się po bladych licach dziéwicy, pojęła, kto był ten, o którym wspomniał ojciec; pojmowała, że przestąpiwszy granice rodzinnego kraju, rozedrze z nim na wieki, rozedrze ze wszystkiémi wspomnieniami, najdroższém serca życzeniem; bez wahania się jednak odparła:

»Nie! ojcze, to być nie może, to być nie powinno. Bóg zna, drogą mi ta ziemia, drogim ten o którym wspomniałeś, lecz ty ojcze! droższym mi jesteś nad wszystko. Nie!« dodała z wrastającym coraz zapałem: »jaż mam jedyna córka opuścić ojca? jaż mam dla własnego szczęścia wyrzec się tego, któremu jedyną tylko trosk osłodą być mogę! Ciężką próbę Bóg zsyła, ale téż daje dość siły do jéj zniesienia... Tak! nie mogę się wahać... twój los ojcze! mym losem, jakkolwiek on porzuci, jakkolwiek dręczyć będzie, ja twoją towarzyszką na zawsze.«

Starzec złożył dłonie niby w modlitwie, wzniósł oczy łzami zroszone ku niebu, i po chwili przycisnąwszy Jadwigę do serca, wyrzekł:

»O! niech Bóg ci wynagrodzi ofiarę, jaką dla mnie czynisz; niech wynagrodzi, bo nie chcę ci taić, ona mém szczęściem najwyższém, ona

jedna da cierpliwie znieść tułactwo i nędzę! Bez ciebie córko! czémże ja byłbym?! Złamany wiekiem, skołatany troską, musiałbym ulédz rozpaczy! Lecz śpieszmy się, noc zapada, a my daleką drogę jeszcze odbyć mamy.«

Poszli — starzec w milczeniu, dziewica z łzą w oku. Ile ona cierpiała! Bóg jeden znać mógł. Nie żałowała ofiary, jaką swemu ojcu poniosła, śmierć nawet nie byłaby straszną dla niego; lecz ona kochała, ona była kobiétą! któżby jéj łez, jéj cierpienia nie przebaczył?!

Późny wieczór ciemnym kirem zaległ już okoliczną krainę, gdy dwaj tułacze doszli niezbyt odległéj starożytnéj wioski Zagroby. Przed niémi o kilka staj ledwie, wspaniała świątynia wybijała dwoma wiekiem poczernionemi wieżami w obłoki, godło świętéj naszéj wiary, krzyż mchem pokryty, stérczał na przyległym smętarzu. Starzec pospiesznie traktem idący, już mijał dróżynę do kościoła wiodącą, gdy go zatrzymała Jadwiga.

»Ojcze! tam grób mojéj matki« — głucho szepnęła.

Stolnik wstrzymał się zaraz. — »Przypomniałaś mi bolesny obowiązek«, wyrzekł: »tam groby wszystkich naszych przodków... moje tylko zwłoki nie będą obok nich spoczywać... chodźmy, pożegnajmy je!«

Zaledwie jednakże przeszli wrota wioski, okna świątyni jakby cudem jakim, żarkiém światłem zabłysły, wszystkie dzwony zabrzmiały, niby witając lub żegnając tułaczy. Stolnik chciał się cofnąć, wstrzymała go znowu dziewica. Jéj oko dziwnie błyszczało: była w niém trwoga, rozpacz, całe serce... Pomimo zmroku wieczora dojrzała ona, że smętarz mnogim napełniony był tłumem, dojrzała gęsty szereg powozów zalégających dziedziniec poblizkiéj plebanii; rozróżniała znane sobie barwy dworzan okolicznéj szlachty, a nadewszystko dziedziców Bromierza: wszyscy ją noszący pękiem różno-kolorowych wstążek i gałązkami mirtu, zdobili swe piersi, a więc to była uroczystość ślubu, co ich o tak późnéj porze do świątyni sprowadziła; lecz czyj ten ślub był? O! na samą myśl lodowaciała krew w piersiach dziewicy, serce kołatało trwożliwie!

Stolnik raz jeszcze chciał się cofnąć... »nie sposób! odkryją nas«, wyrzekł. Dziewica ujęła silnie dłoń jego, walka uczuć miotających sercem przemogła nawet obawę o los kochanego rodzica — jęczała.

O! na pamięć méj matki, na miłość ku mnie, błagam cię ojcze! — chodźmy!«

Świątynia mnogim napełniona była ludem: tłoczył on się, popychał ku wielkiemu ołtarzowi; bo przed nim miejscowy pleban, związkiem ślubnym łączył młodą parę. Panny młodéj nie widziała, nie chciała widzić Jadwiga. Cóż ona ją obchodziła? lecz nowożeniec to był jéj dawny narzeczony, jéj kochanek — Kazimiérz z Bromierza. Na rozdział z nim pozwolić mogła, dwuletnią niedolę znosiła bez szemrania, bez szemrania dłuższą jeszcze mogła łacno przecierpić; lecz widzić tego, którego pierwszą miłością kochała, którego przysięgom wierzyła, widzieć mężem innéj — to było okropnie! boleśnie, nad siły nieszczęsnéj! Upadła zemdlona w objęcia ojca....

Szczęściem nikt z przytomnych nie dał na to baczenia: wszystkich oczy i uwaga na wspaniały obrzęd zwróconémi były, jeden tylko wieśniak w latach podeszłych ulitował się nad cierpieniem stolnika, dopomógł mu wynieść zemdloną z kościoła i do swojéj niezbyt odległéj odprowadził chaty.

Dwie godziny ubiegło zanim nieszczęśliwa przyjść do zmysłów zdołała; lecz gwałtowna gorączka paliła jéj lica, rozum był w obłąkaniu.

Któż opisze boleść stolnika? gdzie znaleść pomoc, gdzie lékarza? a czas upływał, każda chwila zdawała się ujmować coś z życia, niweczyć resztę sił Jadwigi!

Starzec wziął postanowienie: bolesne ono było, dręczyło zarówno duszę jak serce! lecz czegożby nie poświęcił dla ocalenia swéj kochanéj córki? Na kawałku papiéru skréślił następne wyrazy:

»Jeżeli w sercu Aszmości nie zatarty do szczętu wspominek owych lat, cośmy z sobą przeżyli, jeżeli choć trochę litości istni w niém jeszcze, błagam cię, zmiłuj się! Moja córka umiéra, jedna godzina bez pomocy lékarskiéj, bez opatrznego staranku, o śmierć przywiedzie ją pewnie! miéj litość, przyjm ją do swego domu, mnie zgubić możesz, lecz ją ocal!«

List przez poczciwego wieśniaka odesłał do dziedzica na Bromierzu i wkrótce następną odebrał odpowiedź:

»Znając prawa dzisiejsze, wiedzieć Aść musisz, że pomoc jakakolwiek udzielona banicie, o niebezpieczeństwo życia naraża. Dla tego nietylko do jego prośby przychylić się nie mogę, lecz owszem wspominkiem dawnych związków wiedziony, radzę szczérze, abyś czémprędzéj te okolice opuścił, gdyż inaczéj sam jako wierny poddany, o twojém pobycie musiałbym zawiadomić oddział króla Jegomości swedzkiego w Płocku stojący.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 22. i obejmuje;

1) Czy kartofle obkopywać lub nie? 2) Mycie owiec. 3) Spostrzeżenia nad zarazą pyskową i racic u rogacizny. 4) O pochyłości dachów. 5) Wiadomości czasowe: a) Wiadomości literackie. b) Otręby użyte jako nawoz pod rzepę, a szczególnie pod turnips, zbiór pomnażają. c) Sposób wygubienia kretów, szczurów, myszy. d) Skuteczne lekarstwo dla bydła rogatego przeciwko weszce.

Nakładem tutejszego księgarza Kajetana Jabłońskiego wyszło w bocheńskiej drukarni dziełko: *Najnowsze powinszowania dla dzieci i dorosłych płci obojéj w różnych stosunkach ludzkiego życia*, zebrane i pomnożone przez Łukasza Falkiewicza. Jestto miły upominek dla dziatwy, która jeszcze sama uczuć swoich wysłowić nie zdolna.

Z Warszawy: Nakładem S. Orgelbranda księgarza, wyszło drugie przejrzane i znacznie pomnożone wydanie dziełka, pod tytułem: *Przewodnik lekarski dla mężczyzn*, podług Brauna Albrechta i innych, przez B. Rosenbluma. — Nakładem księgarni S. H. Merzbacha, wyszedł tomik pierwszy ze Zbioru ogłoszonych fizyjologij, pod tyt.: *Fizyjologija Wiercipięty*, z przeszło 60 drzeworytami. — Księgarnia Zawadzkiego i Węckiego odebrała nowe książki Kołłątaja X. Hugona: *Rozbior krytyczny zasad historyi o początkach rodu ludzkiego*, z rękopismu wydał w Krakowie F. Kojsiewicz. — Romans Pawła de Kock (Kok), pod tyt.: *Piękna dziewczyna z przedmieścia*, wyjdzie na widok publiczny w pierwszych dniach czerwca. — *Rys bijograficzny życia wiekopomnej pamięci Aleksandra I.. Cesarza Wszech Rossyi króla polskiego*, na pięknym welinowym papierze, ozdobiony pięcia rycinami i muzyka do śpiewu historycznego, zebrany przez J. H. Kurzewskiego, wyszedł z druku. — Trzeci tom *Biblijoteki zagranicznéj* wydania redakcyi *Biblijoteki warszawskiéj*, wyszedł z druku i obejmuje: 1) Blanquiego ekonomiją przemysłową, tom pierwszy. 2) Kurs z roku 1837 i 1838 wykładany w paryzkiem konserwatoryjum sztuk i rzemiosł. Tom ten składa się z 13 lekcyj. *(K. W.)*

Z Wilna: Wydawca *Rubona* i autor: *Pamiątek po małych drogach*, Bujnicki, napisał powieść wierszem: *Siostra Gertruda*, w której usiłował przedstawić czystą, braterską, idealną miłość między dwojgiem kochanków. Michał Grabowski chwali tę powieść w *Tygodniku Petersburskim*.

Kraszewski pisze w *Tygodniku Petersburskim* pochwalnie o drzeworytach Smokowskiego, któremi jest ozdobione wydanie powieści znamienitéj autorki Eleonory Sztyrmer, pod tytułem: *Frenofagiusz i Frenolesty*. Pani Sztyrmer znana już zaszczytnie z powieści humorystycznéj: *Pantofel*, umieszczonéj w *Noworoczniku Petersburskim*. *(T. P.)*

(Nadesłane.)

WYJĄTEK Z LISTU DOKTORA BUCHNERA,
radcy nadwornego bawarskiego,
pisanego z Monachijum dnia 30go kwietnia b. r. do naszego chemika
TEODORA TOROSIEWICZA:

»Polecone przez pana naczynia apteczne ze szkła kolorowego (ob. Gazetę naszą ner. 89 z r. 1842), zaczynają w Niemczech bardzo wchodzić w używanie... I do was więc doszła już wieść o dziewczynie Maryi Furtner, którą można nazwać zagadką fizyjologiczną. To, coście czytali o niéj po pismach publicznych, jest niezawodną prawdą. Będąc jeszcze dziecięciem dziewięcio- lub dziesięcio-letniém, odwykała pomału od pokarmow, piła tylko czystą wodę. Rodzice jej, prostoduszni kmiotkowie, wezwali lekarza, sądząc, że ona jest chorą. Ten, jak sama upewnia, zapisywał jéj lekarstwa, i temi właśnie przywiódł ją do choroby, że już wcale nic jeść nie mogła. Odtąd żyje tylko powietrzem i wodą, niéma wypróżnień z kiszek, jest dość słabowitą, igła i kądziel całe jéj zatrudnienie, żadnéj innéj pracy, wymagającéj natężenia sił fizycznych, podjąć się nie może. Dla sprawdzenia tego poniekąd podejrzanego zjawiska, lekarz od sądu zesłany, wziął ją do swego pomieszkania, gdzie ją w ścisłym trzymano dozorze. Przekonano się: że Maryja Furtner, mająca teraz 21 lat, nie biorąc żadnych pokarmów, tylko wodą studzienną żyje, że nie ma żadnych wypróżnień oprócz uryny i tego, co się przez skórę i oddech wydziela. — Lekarz doniósł o tem rządowi. Otóż za rozporządzeniem ministeryjum umieszczono ją w głównym szpitalu w Mnichowie, gdzie przez pięć niedziel dniem i nocą pod najściślejszą zostawała strażą i codziennie po dwakroć ważoną była. Aby ja w najściślejszem trzymać odosobnieniu, opieczętowano okna jéj pokoju, zostawiwszy tylko otworem wentilatora. Dwie sióstr miłosierdzia pilnują ją nieustannie jak najtroskliwiéj. Pomimo to wszystko pokazało się jednak, że ta dziewczyna tylko powietrzem i wodą żyje. Ja sam, gdym ją odwidzał, zastałem ją zdrową; nie jest ona nawet nad miarę chudą, ma przyjemne rysy twarzy, w których się maluje łagodność i niewinność; waży tylko trochę nad 70 funtów, jest dość małego wzrostu. Nie chce ona uchodzić za świętą, nie masz w tém także ani podstępu, ani spekulacyi, bo jéj rodzice nie są ubodzy. — Uryna jéj jest bardzo wodnistą, a od jéj pobytu w szpitalu, stała się jeszcze bardziéj; co jest rzeczą dziwną; jednakże składa się ona z takich części, co zwyczajna, tylko że sole chlorctowe stosunkowo są mniejsze. — Że u niéj gaz oddychalny, zawiera w sobie kwas węglowy, to się samo rozumie. — Temperatura jéj skóry i jamy ustowéj, jest daleko niższą niż u zdrowego człowieka, co też inaczéj być nie może przy tak słabéj reprodukcyi w jéj organizmie. Mój syn będzie właśnie teraz rozbierał wodę studzienną, którą ona pije w szpitalu, oraz i to źródło, z którego jéj w domu ojcowskim napój dawano. — Byłoby nader zadziwiającą rzeczą, gdyby też ta woda nie miała ani fosforanów ani cząstek żelaza. Na wszelki wypadek zjawisko to nader ciekawe w fizyjologicznym względzie, nie jednę wywoła zmianę w *teoryi*, na któréj Liebig oparł swoją fizyjologiczną chemiję. — Dodać jeszcze muszę, że Furtner mało używa ruchu, że prędko słabnie na siłach i że długo sypia. Z tem wszystkiém reprodukcyja w jéj organizmie, odbywa się bardzo słabo i zwolna.«

Statystyka pism czasowych paryskich. Według dziennika *Journal de la Librairie* ma Paryż obecnie 395 pism czasowych. W liczbie tej nie są objęte dzienniki, które częstokroć jednego dnia powstają, a drugiego jak owe muszki chwilowe z literackiéj widowni nikną. Z tych jest: 15 pism treści religijnej, 21 poświęconych wychowaniu młodzieży, 32 nauce prawnictwa, 21 dzienników zajmuje się sprawo-zdaniem rzeczy sądowych, 31 traktuje o medycynie, 9 o przemyśle i ekonomii krajowej, 9 o sztuce wojennéj, 22 o przedmiotach tyczących się administracyi kraju, 8 o teatrze, 7 o sztukach nadobnych, 9 o muzyce, 19 o modach, 54 o literaturze we wszystkich jéj gałęziach, 22 zajmuje się umieszczaniem wszelakich uwiadomień, a 37 pism jest organem polityki we wszystkich jéj odcieniach. Sześć pism wychodzi w polskim języku. Jak znacznie pomnożyła się liczba dzienników i pism

czasowych, z tąd wynika, że w r. 1812 było ich w Paryżu tylko 45. Wzrost więc piśmiennictwa w ciągu 31 lat daje nam stosunek 8 1/2 do 1. Do tego i to zważyć należy, że najwięcéj pism w większym niż pierwej wychodzi formacie, i że pisma naukowe są znacznie większéj objętości niż dawniéj. Śmiało można powiedzieć, że teraz drukarnie 18 razy więcej papiéru spotrzebują, niż w r. 1812. Trzydzieści i sześć pism zwykle wychodzi codziennie (w r. 1812 było ich tylko pięć), 219 miesięcznie, 52 tygodniowo. Z samych uwiadomień tych dzienników, które od r. 1830 zapowiadały swoje przyjście na świat, a które dla braku prenumerantów nie ujrzeli światła dziennego, możnaby piękną ułożyć biblijotekę. Pisma, które skonały na suchoty, były ciekawe już z samych tytułów: *Messager des Mariages*, *la Loge* (pismo dla odźwiernych), *Journal des ami de la réforme ortographiqe (sic!)* Zapewne nie jeden pomyśli, iż na to trzeba Rothschylda lub uniwersalnego spadkobiercy Aquado, aby temu zbytkowi literackiemu zadość uczynić. Ale rzecz ma się inaczéj, za drobnostkę 9137 franków, można mieć te 395 dzienników, bo wyjąwszy *Moniteur* i *Galignanis-Messenger*, z których piérwszy 112 a drugi 100 franków kosztuje, wszystkie reszta dzienników spadają stopniowo w cenie, zacząwszy od 80 aż do 2 franków. Po departamentach wychodzi 417 dzienników. Że ta niezmierna ilość pism czasowych, przechodzi potrzebę kraju, nie podlega żadnéj wątpliwości, porównawszy jednak w téj mierze Francyję z Ameryką, w któréj gazety wolbrzymim formacie, nawet dwa razy na dzień wychodzą, nie wiedzieć, czy się należy dziwić wytrwałości wydawców, czyli cierpliwości czytelników.

Hrabia Paryża. Codziennie w dnie pogodne widać na dziedzińcu tuileryjskiego zamku przed pawilonem Marsan małe, rzeskie dziécię w żałobie, które otoczone służbą w czarnej barwie, skacze wesoło oddając się igraszkom dziecinnym. Pogodna mysl tego dziécięcia nie wie, jaka była przeszłość przed nim, i, jaka go czeka przyszłość. Dziécięciem tém jest mały hrabia Paryża. »To nasz przyszły król«, mówią jedni. —»Jakże on podobny do swojego ojca«, mówią drudzy. — Przed trzydziestą laty na tymże samym dziedzińcu igrał mały chłopczyna, przejeżdżał się wózkiem zaprzężonym czworgiem jagniąt. Grenadyjerowie starej gwardyi, witali to dziécię z dumą żołniérską, oficerowie i jenerałowie schylali przed nim głowę. »To jest król rzymski, przyszły Cesarz Francuzów!« mówiono powszechnie.—Przed czternastą laty inny znowu chłopczyk bawił się na tém samem miejscu, nieraz z okna witał gwardyję szwajcarską i białą chorągiew' z lilijami, a Paryżanie z chlubą mawiali: »To jest dziécię Opatrzności, przyszły król Francyi i Nawary.«—A dziś, jeden z nich spoczywa w grobie u Ojców Kapucynów w Wiedniu, a drugi—tuła się w Gorycyi samotnie, bez nadziei.

Zemsta Indyjanina. Plemię Indyjanów ma właściwe sobie pojęcie o zemście; na dowód niech posłuży następujący wypadek: »Major Tomlinson, pełnił w pewnym obwodzie w Indyjach oprócz obowiązków wojskowych, urząd poborcy podatków i sędziego. Przy wybiéraniu podatków okazywał się nielitościwym, i niejedną rodzinę przywiódł do największego ubóstwa. Równie dziko jak surowo postąpił sobie raz z pewnym Indyjaninem, który wziąwszy kij żebraczy do ręki i poprzysiągłszy zemstę wraz z swoją rodziną, w rok opuścił chatę i zniknął; potem przybywa, staje przed majorem Tomlinson i oznajmia: że przyszedł dopełnić swojéj przysięgi. Na ręku miał dziécię, jedynaka. Zionąwszy przekleństwo, bierze dziécię za nogę i uderza okropnie głową o ścianę: »Oto moja zemsta«, wrzasnął fanatyzmem uniesiony ojciec. »Ja poświęciłem bogu zemsty moje jedyne dziécię, niech jego niewinna krew spadnie na twoję głowę!« Po tym czynie stał jak wryty, a gdy go brano do więzienia, nie czynił żadnego oporu. Sąd skazał go na śmierć. Do wykonania tej kary, za którą kat brał zwykle zapłatę, stawił się dobrowolnie okryty siwym włosem starzec; byłto ojciec tegoż samego Indyjanina, który tak okrutną spełnił zemstę. Zarzuciwszy zręcznie synowi stryczek na szyję, rzekł z krwią zimną: »Los chciał, aby mój syn zginął tą haniebną śmiercią, a gdy już koniecznie umrzeć musi, czemuż ma obcy mieć korzyść z naszego nieszczęścia?«

Wypadek następujący posłuży za nowy dowód, jak silnem jest przywiązanie niektórych rodzajów ptactwa do swoich dzieci. W Zwoleniu pod Radomiem, bociany miały gniazdo na drzewie obok browaru. Zabudowania te gorzały, płomień dokuczał mocno samicy bociana wysiadującéj jaja; pomimo tego nie ruszyła się z miejsca, i owszém rozkładając skrzydła, zdawała się chcieć osłaniać gniazdo od zniszczenia lecących ze wszech stron iskier. Niebawem pożar i drzewo ogarnął; gorzał pień, trzaskały gałęzie, wreście i gniazdo palić się zaczęło. Samica jednak choć poparzona i zbolała, nie opuściła swego stanowiska, woląc raczéj zginąć w płomieniach, niż opuścić gniazdo i pisklęta, którym życie dała: ostatnie jéj tchnienie było dla dzieci. Tymczasem samiec latał w około pożaru, klekocząc dziobem i z oznakami żywéj rozpaczy.

Stary huzar przed sądem poprawczym. *Gazette des Tribunaux* opowiada wzruszającą scenę, która niedawno przed sądem poprawczym w Paryżu zaszła. Sześćdziesiąt-letniego staruszka oskarżono o żebractwo. Na swoje uniewinnienie przytaczał on, że służył przez długi czas wojskowo, że wyszedłszy z wojska, utrzymywał się do niedawna z pracy rąk jako wyrobnik. Przed niejakim dopiéro czasem upadł na siłach, wiek i blizny odjęły mu środki do wyżywienia się, dla tego wyciągał rękę po jałmużnę. Teraz zaś niczego nie pragnie, jak tylko, aby go w domu przytułku umieszczono. Gdy sędziowie naradzali się nad tym wypadkiem, występuje jakiś pan, krzyżem legii honorowéj ozdobiony, i prosi sędziów, aby mu wolno było z oskarżonym pomówić. Otrzymawszy zezwolenie prezydenta, zapytuje: »Czy w samej istocie nazywacie się Jerôme Bontour?«—»Tak jest, mój panie.«—»Czy nie służyliście wojskowo pod pułkownikiem Christophe?« —»Tak, byłem huzarem w tym pułku.« —»Pamiętacie owę chwilę w bitwie pod Wagram, kiedy pułk wasz uderzył na Hanowerczyków? Czy wtedy nie uratowaliście komu życia?« — »Tak jest, jeden z naszych oficerów padł na ziemię, konia pod nim zabito; właśnie chciał go grenadyjer nieprzyjacielski bagnetem przebić, gdy w sam czas jeszcze przybywam i trupem go kładę.« — »Dobrze więc mój zacny obrońco. Ten, który ci życie winien, stoi przed tobą. Nie dla ciebie to miejsce w domu przytułku, wezmę cię z sobą.«—Stary żołnierz poznał w nieznajomym swego dawnego podporucznika, a łzy radości pociekły mu po jagodach. Wszyscy obecni byli mocno wzruszeni. A tak przypadek podał zacnemu oficerowi sposobność do wywdzięczenia się staremu huzarowi za ważną przysługę.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.